

NICOLA SKINNER

FLORA

Kiedy łamiesz zasady,

dzieją się różne cuda.



ZIELONA
SOWA

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

FLORA





NICOLA SKINNER

FLORA

Przełożyła Barbara Górecka

Tytuł oryginału: *Bloom*

Redaktor prowadzący: Maria Mazurowska

Redakcja: Zofia Latawiec

Korekta: Katarzyna Nowak

Skład: Kamil Pruszyński, Wojciech Bryda

Text © Nicola Skinner 2019

Illustrations by Flavia Sorrentino

Cover layout design © HarperCollins Publishers Ltd 2019

Translation © translated under licence from HarperCollins Publishers Ltd

Translation © Zielona Sowa translated under licence
from HarperCollins Publishers Ltd

Nicola Skinner asserts the moral right to be identified
as the author of the work.

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

Warszawa 2020

All rights reserved

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości
albo fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie
pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8154-556-3

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

wydawnictwo@zielonasowa.pl

www.zielonasowa.pl

*Dla Bena, dzięki któremu stało się to możliwe,
i Polly, od której wszystko się zaczęło.*





Nieczęsto się zdarza, że po otwarciu nowiutkiej książki, już w pierwszym zdaniu czytacie, że to ryzykowne. Ale jeśli chcecie znać fakty, a nie żadne zmyślenia, to wiedźcie, że na stronach tej książki czai się niebezpieczeństwo.

Czy też raczej m o g ł o b y się czaić. Nikt niczego nie udowodnił. Ale ryzyko istnieje. A to oznacza, że musicie uważnie przeczytać tę stronę, zanim przejdziecie do pierwszego rozdziału.

Nikt nie jest bezpieczny. Dziewczyny, chłopaki, mamy, tatusiowie, siostry, bracia, ciotki, wujkowie! Nawet stryjeczni i cioteczni pra-coś-tam, dalsi krewni, których widzicie raz na rok. Mhm, nawet oni.

Wszyscy znaleźliście się na linii strzału, los wziął was na celownik.

A to dlatego, że samo trzymanie tej książki w ręku i dotykane jej kartek naraziło was i wszystkie znane wam osoby na ewentualny kontakt z substancją, o której naukowcy mówią, że jest „wysocenieprzewidywalna i ulotna, medycznie niestabilna i przynosi nieodwracalne skutki”.

Albo jak wyraziła się pewna oszołomiona pielęgniarka: „Nigdy czegoś takiego nie widzieliśmy, moja droga”.

Lepiej się więc przygotujcie.

Przez kilka dni możecie odczuwać przedziwne sensacje. Na przykład nalejecie sobie przed snem wody na kąpiel i zamiast w niej usiąść, zaczniecie ją pić.

Na koniec – spokojnie, nie ma powodu do paniki – mogą wam wyrosnąć, ekhm, narośle na ciele.

Zaczekajcie! Nie odrzucajcie tej książki z przerażeniem! Hej, wracajcie! Szansa, że wam także się to przydarzy, jest b a r d z o mała. Z grubsza jedna na milion albo miliard... (A może jedna na sto. Nie jestem najlepsza w ułamkach dziesiętnych). W każdym razie prawdopodobieństwo, że coś wam się stanie, jest naprawdę bardzo, bardzo małe, a nawet gdyby było inaczej, to zupełnie nie ma sensu biec do łazienki i szorować rąk.

Ponieważ to nie o nie należy się martwić.

Słuchajcie, spróbujcie się nie przejmować. Jeśli się jednak zarazicie, to przecież nie tylko wy. Zapewniam, że jest takich więcej. Nam także się to przytrafiło.

Wszyscy wyglądamy trochę dziwnie, prawda?

Mama ujmuje to dyplomatycznie: „Coś tam sobie wyhodowałyśmy, prawda, Sorrel?”.

A właśnie, nazywam się Sorrel Kolendra Fallowfield. Moja mama ma fioła na punkcie świeżych ziół¹. Zawsze mogło być gorzej. Mama uwielbia też natkę pietruszki.

¹ Sorrel – szczawik zajęczy, Fallowfield – dosł. leżące odlegim pole.



ROZDZIAŁ I

Kiedy prasa i dziennikarze poznali moją historię, napisali o mnie sporo kłamstw. Oto główne z nich:

1. Jestem dzieckiem z rozbitego domu.
2. Mama jest fatalną samotną matką.
3. W tych okolicznościach nic dziwnego, że zrobiłam to, co zrobiłam.

Nic z tego nie było prawdą, poza faktem, że mama samotnie mnie wychowała. Lecz przecież to nie jej wina, że tata uciekł, kiedy byłam jeszcze niemowlęciem. Mimo to jeden nagłówek utkwił mi w pamięci. Ten o rozbitym domu.

Coś w tym było. Choć w innym sensie, niż potocznie się to rozumie. Nie nosiłam podartych ciuchów ani nie chodziłam głodna, ale nasz dom rzeczywiście był okropnie zniszczony i porozbijany. Wiecznie coś się w nim psuło.

Gdyby ktoś z was do nas zajrzał, z pewnością poczułby to samo. Zegar tykający w przedpokoju wiecznie śpieszył się albo późnił. Kran w kuchni kapał: „kap, kap, kap”,

jakby się nad czymś użalał. Gdy włączałam telewizor, dźwięk ginął w połowie programu, jakby urządzenie obraziło się i nie chciało ze mną rozmawiać. Ani ze mną, ani z nikim innym. Już nigdy.

W łazience był grzyb, a wannę pokryła warstwa kamienia. Plastikowe zasłonki zwisały smętnie, nie dając się przyczepić na dłużej niż pięć minut, a po spuszczeniu wody w klozecie rury zawodziły i jęczały z niezadowolaniem. O tak, gdyby ktoś nas odwiedził, zmyłby się w mgnieniu oka. Wymyśliłby na poczekaniu jakiś pretekst, na przykład: „Yyy... właśnie sobie przypomniałem, że obiecałem mamie odkurzyć dzisiaj dach, muszę lecieć!” – i uciekłyby, gdzie pieprz rośnie.

Poza moją najlepszą przyjaciółką Neeną niewiele osób odwiedziło nas na dłużej.

Zgadnijcie, jak nazywa się nasz dom?

Wesoła Chatka.

Prawdę mówiąc, nie mam za złe nikomu, kto prędko od nas uciekł. Ponieważ nie chodziło jedynie o wilgoć, ciekące krany i zatkane rury. Znacznie większym problemem była atmosfera tego domu. Wyczuwało się ją w każdym kącie.

Ponurą ponurość. Zarośniętą brudem szarość. Mroczną posępność. Wesoła Chatka zawsze sprawiała wrażenie rozgniewanej i niezadowolonej, a jej nastrój udzielał się niemal wszystkim i wszystkiemu. Zakradał się

wszędzie, w każdy kąt, od wygniecionej kanapy w dużym pokoju po wystrzępioną sztuczną paprotkę w kuchni, która wyglądała, jakby umierała z pragnienia, choć była plastikowa.

Najgorsze, że smutek wsączał się czasami także w mamę. Oczywiście nigdy mi tego nie powiedziała, ale ja wiedziałam. Był w niej, gdy siedziała przy kuchennym stole i gapiała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. I kiedy rano człapała po schodach na dół. Spoglądałam na nią, a ona na mnie. W ciągu pełnych grozy sekund, zanim się w końcu uśmiechnęła, myślałam: „To się rozrasta”.

Ale co ja mogłam zrobić, żeby to wszystko naprawić? Nie byłam hydraulikiem. Byłam najniższa w klasie, nie dosięgałam zaczepów zasłonki przy wannie. A jeśli chodzi o naprawę telewizora, to znałam tylko jedną dobrą metodę, czyli „walnij pięścią i módl się, żeby pomogło”.

W zamian wołałam inne rozwiązanie. Polegało ono na przestrzeganiu jednej prostej zasady:

„Bądź miła i grzeczna w szkole i w domu, i rób to, co ci tam każą”.

Trzymałam się jej bardzo ściśle.

Byłam w tym naprawdę dobra. Niezrównana.

Do tego stopnia, że mamie regularnie brakowało pudełek po butach do przechowywania moich dyplomów za wzorowe zachowanie.

A nauczyciele stażyści przychodzili do mnie, żeby upewnić się co do zasad, jakich należało przestrzegać w naszej szkole. Na przykład:

Czy uczniom wolno biegać po boisku?

(Odpowiedź: Nigdy. Dozwolony jest lekki trucht w sytuacji zagrożenia. Na przykład kiedy goni cię niedźwiedź brunatny, choć nawet wtedy trzeba mieć pisemne pozwolenie, uzyskane z dwudziestoosmiodniowym wyprzedzeniem).

Czy wolno uśmiechać się do pana Grittysnita², naszego dyrektora?

(Odpowiedź: Nigdy. Pan dyrektor preferuje spuszczoną głowę jako oznakę szacunku).

Czy zawsze był taki zasadniczy i surowy?

(Odpowiedź: Ściśle rzecz biorąc, to pytanie nie dotyczy regulaminu szkoły, ale zrobię wyjątek dla nowej osoby, tylko ten jeden raz: tak, zawsze).

Byłam tak miła i porządna, że po raz drugi z rzędu wybrano mnie reprezentantką uczniów mojego rocznika.

Byłam tak grzeczna, że nosiłam w szkole przezwisko „Grzeczna Sorrel”. To znaczy do rozpoczęcia nauki w piątej klasie, bo później Chrissie Valentini zmieniła je o d r o b i n ę na „Lizuska Sorrel”. Ale nie powiedziałam o tym nauczycielom.

Właśnie dlatego, że byłam taka grzeczna i miła.

²Grittysnit – w luźnym tłumaczeniu: twardy gość.



Ilekoć wracałam do domu z najnowszym dowodem uznania, mama uśmiechała się do mnie, nazywając swoją grzeczną dziewczynką. Smutek opuszczał ją wtedy i chował się w ciemnych kątach domu.

Ale tylko na krótki czas.

ROZDZIAŁ 2

A potem, pierwszego dnia nauki w szóstej klasie, coś jeszcze się zepsuło. Coś, co naprawdę lubiłam. Moje życie.

Była to wina tarasu.

Wróciłam ze szkoły do domu. Mama była jeszcze na pracy (tak się szczęśliwie złożyło, że miała Najlepszą Pracę na Świecie) i miała przyjść dopiero za dwie i pół godziny. Zamierzałam się odprężyć, sprzątajac kuchnię, pastując pantofle szkolne i odrabiając lekcje, bo tak miałam w zwyczaju.

Mama nie przepadała za tym, że siedzę sama w domu, ale pracowała codziennie, na pełen etat, i wracała najwcześniej przed osiemną. Stać nas było tylko na trzy dni zajęć dodatkowych w świetlicy: w środy, czwartki i piątki. We wtorki po lekcjach odwiedzałam Neenę. (W zależności od stacji telewizyjnej nazywano ją potem przez pewien czas moją przygłupią najlepszą przyjaciółką, pozbawioną skrupułów współniczką w przestępstwie, pozbawioną skrupułów najlepszą przyjaciółką albo przygłupią współniczką w przestępstwie).

W każdym razie poniedziałkowe popołudnia spędzałam w domu sama. Co poniedziałek rano mama mówiła z a w s z e te same słowa: „Tylko nie spal domu i koniecznie odrób lekcje”. Jakby trzeba było mi powtarzać! Czy ktoś lepiej ode mnie wiedział, co ma robić i o jakiej porze? Kto sporządził Drobiazgowy Terminarz Sorrel?

To chyba jasne – ja sama. Mój Drobiazgowy Terminarz w znacznym stopniu warunkował moje grzeczne zachowanie. O wiele prościej jest trzymać się w ryzach, jeśli ma się równo wypisany rząd rubryczek do odhaczenia.

No więc sprzątałam kuchnię. Wytarłam tłuste plamy ze stołu. Opróżniłam zmywarkę. Otworzyłam tylne drzwi, żeby przewietrzyć pomieszczenie, które zawsze cuchnęło wilgocią.

Uporałam się ze sprzątaniami do szesnastej dwadzieścia pięć. Miałam jeszcze kilka cennych minut odpoczynku przed odrabianiem lekcji i wiedziałam dokładnie, jak zamierzam je spędzić.

Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam list, który dostaliśmy dzisiaj w szkole przed wyjściem do domu. Tym razem nie przeleciałam go wzrokiem, popychana i zakrzykiwana przez kolegów. Czytałam powoli, rozkoszując się każdym słowem.

A oto treść listu:

Czy guziki twojego szkolnego blezera
są zawsze pięknie wypolerowane?

Czy regularnie przynosisz do domu
doskonałe oceny ze sprawowania?

Czy to TY zwyciężysz w tym roku w szkolnym
konkursie na Gwiazdę Szkoły Grittysnit?

Jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Weź udział w konkursie na GWIAZDĘ GRITTYSNIT
i zdobądź koronę NAJWSPANIALSZEJ KRÓLOWEJ
CAŁEJ SZKOŁY I MIASTECZKA JAŁOWE
SIOŁO. Rozstrzygnięcie konkursu
na koniec trimestru.

Do wygrania także tygodniowy pobyt
rodzinny w Ośrodku Wypoczynkowym Tęcza
w Portugalii. (Fundatorem nagrody jest
miejscowe biuro podróży Premio Travel).

Rodzinne wakacje nad morzem! Jeszcze nigdy nie byłam
za granicą i nie leciałam samolotem. Mama zawsze po-
wtarzała, że nas na to nie stać. Że jest u nas cienko z kasą.
Jakby pieniądze były skurczoną w praniu sukienką.

Ktoś – prawdopodobnie sekretarka szkolna, pani Pinch –
narysowała na liście cztery małe, patykowate figurki na
plaży. Uśmiechały się do siebie, trzymając rożki z lodami.

Wyglądały na zadowolone.
Czytałam dalej.

Zwycięzca konkursu, GWIAZDA GRITTYSNIT,
musi posiadać szczególne cechy, które
tworzą idealnego ucznia Grittysnit.

Wstrzymałam oddech. Co?

Przedmiotem oceny uczniów będzie
umiejętność przestrzegania regulaminu
szkoły w każdej sekundzie dnia.

Sapnęłam z uciechy. O mnie mowa!

Zrobiłam w głowie szybkie obliczenia. W każdym roczniku w Grittysnit było sześćdziesięcioro dzieci. Będę miała przeciwko sobie czterystu dziewiętnastu uczestników konkursu. Czy rzeczywiście? Miałam sześć lat praktyki w przestrzeganiu regulaminu szkoły. To zdecydowanie zwiększało moje szanse. Większość dzieciaków w zerówce i młodszych klasach ledwie umiała zawiązać sobie buty i stale się przepychała.

Wygranie pobytu w Portugalii byłoby jak zabranie maluchowi lizaka. Było mi trochę głupio, gdy skreślałam w myślach część współuczestników konkursu. „Takie życie, przykro mi, dzieciaki”.

Należy zapamiętać, że przyszła Gwiazda
Grittysnit ma być żywym wcieleniem motta
naszej szkoły – BLINKIMUS BLONKIMUS
FUDGEYMUS LATINMUS. Jego tłumaczenie...

Nie musiałam czytać tłumaczenia motta na angielski, znałam je doskonale na pamięć. Podniosłam na moment wzrok i spojrzałam na swoje odbicie w szybie kuchennego okna. Patrzyła na mnie z powagą niska, pulchna, blada i piegowata dziewczynka z włosami upiętymi w zgrabny koczek (o barwie sera cheddar). Miała minę mówiącą: „Motto szkoły? Obudź mnie o północy, a wyrecytuję je bezbłędnie”.

Wspólnie intonowaliśmy codziennie: „Niech kształtuje cię posłuszeństwo. Niech uformuje cię przystosowanie. Niech stworzą cię nasze zasady”.

Z kranu smutno kapało.

Czytałam dalej.

Szczęśliwy zwycięzca będzie się również cieszył szczególnymi przywilejami. A oto one:

1. Własne krzesło na podwyższeniu wśród grona nauczycielskiego podczas zebrań i uroczystości szkolnych.
2. Pierwszeństwo w kolejce po obiad.

3. Duża odznaka (w regulaminowym kolorze szarym)
z napisem:



Co, chcecie jeszcze więcej? Na tym polega
problem ze współczesnymi dziećmi –
chcą tylko brać, brać, brać.
Niech wygra najlepszy z was.
A teraz idźcie odrabiać lekcje.

Dyrektor szkoły
Pan Grittysnit

Odłożyłam list i zaczerpnęłam głęboki, drżący oddech.
To było moje p r z e z n a c z e n i e. Dziewczynka z okna
i ja spojrzaliśmy na siebie z powagą, jakby związał nas
niepisany pakt.

Trzymając list tak ostrożnie, jakby był ze szkła, podeszłam do lodówki. Chciałam przymocować go magnesem do drzwiczek, żeby co dzień na niego patrzeć. Nielatwo jednak było znaleźć kawałek miejsca. Całe drzwiczki były pokryte pożółkłymi rachunkami, przepisami wydartymi z kolorowych czasopism...

Było też najnowsze zdjęcie z wakacji, zrobione przed zaledwie dwoma tygodniami. Siedziałyśmy z mamą skulone pod kocem na kamienistej plaży, pod niebem tak sinym jak worki pod jej oczami.

Zapatrzyłam się na fotografię i wróciły wspomnienia. Domek kempingowy pachniał czymś żywym, potęgując wrażenie obcości. Mama przez cały tydzień nie przestawała mnie błagać, żebym tylko niczego nie popsowała. Padało sześć dni bez przerwy, a kiedy wsiadłyśmy do pociągu powrotnego do Jałowego Siola, po raz pierwszy wyrzało słońce.

Co tylko pogorszyło nam nastrój.

Przez całą pięciogodzinną podróż mama siedziała z czołem przyciśniętym do szyby, wpatrując się w błękitne niebo jak w czyjś tort urodzinowy, z którego nie dostanie nawet okruszyny.

Obok zdjęcia wisiał kalendarz na następny rok. Zobaczyłam, że mama zaznaczyła już na nim nasz kolejny wakacyjny wyjazd. KEMPING – napisała grubym czerwonym flamastrem. Żadnych wykrzykników. Ani jednej uśmiechniętej buźki.

Prawdę mówiąc, przypominało to bardziej groźbę niż notatkę o wakacjach.

Ale gdybym wygrała konkurs na Gwiazdę Grittysnita, mogłybyśmy wyjechać w jakieś ładne, słoneczne miejsce. Gdzie indziej niż z a z w y c z a j. Tęsknota zamieniła się w determinację. Musiałam tylko sprawować się bez zarzutu.

Spoko loko.

Przymocowałam list pana Grittysnita do fotografii, ciesząc się w duchu, że nie widać zasępionej miny mamy, gdy nagle...

BACH! Tylne drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Serce zakołatało mi ze strachu. Kto tam jest? – pomyślałam.

Oczywiście nikogo nie było. Silny podmuch omal nie wyrwał drzwi z futryny. Nie domknęłam ich po wywietrzeniu kuchni.

Gniewny wichur szalał po całym pomieszczeniu. Czulałam się jak w obliczu niewidzialnej furii. Na nogach miękkich jak rozgotowany makaron podeszłam zatrzasnąć drzwi i wyrzucić wiatr z kuchni.

Nad moim ramieniem przefrunęło z furkotem coś białego.

Pisnęłam przeraźliwie i zgięłam się wpół.

Czyżby gołąb wleciał do kuchni?

Przyjrzałam się bliżej. To wcale nie był biały gołąb, z piórami i pazurami. To był list pana Grittysnita! Wiatr

zerwał go z drzwiczek lodówki i ciskał nim w różne strony. Podskoczyłam, żeby go złapać, ale umknął mi, jakby porwały go niewidzialne, dygotliwe ręce. Zdążyłam jeszcze dostrzec narysowane patykowate figurki z uśmiechami zastygłymi w dziwnym grymasie, ale zaraz odfrunęły z trzepotem...

...za drzwi, prosto na podwórko.

ROZDZIAŁ 3

Potrzebowałam tego listu. Był obietnicą lepszych czasów, zachętą do wysiłku. Westchnęłam i wybiegłam z domu.

Prędko przeszukałam wzrokiem taras. Nie trwało to długo, wszystko wyglądało jak zwykle. Dwa plastikowe krzesła, na których nikt nigdy nie siadał. Chwasty wyrastające spomiędzy betonowych płyt chodnikowych. I wysoka wierzba płacząca tuż przy domu, rzucająca głęboki cień.

Też bym płakała, gdybym wyglądała tak jak ona.

Szary pień porastały jasnoczerwone włochate narośle, podobne do wrzodów. Gałęzie kładły się płasko na betonie, jakby wierzba skłoniła głowę z rozpacz. Nawet liście były strasznie brzydkie – zeschłe, szerniałe, bez życia. Drzewo nie tyle roślo, ile przycupnęło w kącie ogrodu niczym konający troll z problemem skórny. Mama powiedziała, że jest chore. No tak.

Nigdzie nie było widać listu pana Grittysnita. Byłam bliska uznania, że bezpowrotnie zaginął, gdy nagle mój wzrok przyciągnął jakiś ruch u podstawy pnia. Wokół jednej z wystających gałęzi owinęła się kartka papieru,

mogłam nawet odczytać początek zdania: „Przedmiotem oceny uczniów...” i zobaczyć jedną z czterech zapalczanych figurek. Zrobiło mi się żal listu. Co to za przyjemność leżeć w kupie zeschniętych liści na mokrym podwórku.

– Wezmę go sobie – powiedziałam, unosząc ostrożnie gałąź w dwóch palcach (nie chciałam się przecież zarazić od wierzby chorobą) i nachyliłam się, żeby podnieść list.

SZAST! Powietrze zawibrowało ze straszliwą siłą, jak po silnym wyładowaniu elektrycznym. Dźwięki w ogrodzie stały się zwielokrotnione, niemal ogłuszające. Szelest zwiędłych liści nade mną był teraz dudniącym grzmiotem. Gruchanie gołębia zabrzmiało jak piła łańcuchowa. Ale bardziej niż hałas przerażały mnie momenty całkowitej ciszy. Dzwoniła w uszach, potężna i upiorna.

Wydawała się...

CZEKAŁAM NA CIEBIE.

Wzdrygnęłam się i obróciłam na pięcie. Kto to powiedział?

Serce waliło mi tak głośno, że nic nie słyszałam. Ale taras był pusty.

Oblał mnie zimny pot. Wszystko wydawało się zarazem rzeczywiste i nierzeczywiste, zbyt głośne i jednocześnie zbyt ciche.

Daj spokój, Sorrel, oddychaj powoli, równomiernie – powtarzałam sobie w duchu. Co właściwie zdarzyło się przed chwilą? Nachyliłam się, żeby podnieść list. Czy

wierzba mnie zatrula, zaraziła mi mózg jakimś świństwem, przez co mam omamy słuchowe? A może krew napłynęła mi do głowy wskutek gwałtownego pochyle-
nia? Może za mało zjadłam. Powinnam chyba wrócić do
kuchni i sprawdzić, jak sytuacja z przekąskami.

Ale co to?! Co tu się znowu porusza? Tak blisko moich
stóp? Szczury?!

O, znowu!

Ale kiedy przyjrzałam się uważniej, trzęsąc się cała ze
strachu, nie zobaczyłam niczego czarnego i ruchliwego.

Podejrzany ruch wydobywał się s p o d ziemi.

Jak gdyby tam coś... było. Pod spodem, pod warstwą
betonu.

Wierciło się. Obracało.

Pod ziemią.

– Halo? – Mój głos był żalosnym beczeniem zagubio-
nego na pastwisku jagniątka. – Czy tam ktoś jest?

Okna patrzyły na mnie obojętnie.

UCIEKAJ! – powiedziałam sobie. – TERAZ!

Udało mi się zrobić jeden mały krok, gdy raptem taras
pode mną poruszył się w górę i w dół, jakby coś ukrytego
głęboko pod ziemią próbowało s t r z ą s n ą ć z siebie be-
ton – albo mnie.

Czy to trzęsienie ziemi?

Otworzyłam usta, żeby krzyknąć, ale nie wydobył
się z nich żaden dźwięk, oprócz świszczącego oddechu.

Spojrzałam w dół. Płyta pod stopami pękła dokładnie na pół, jak cienka gałązka. Pęknięcie nabierało impetu, przeorywało taras od wierzby do tylnych drzwi. Został on przepołowiony z taką łatwością, jakby był masłem, w które wchodzi nóż. Widać było tylko wąski ślad pokruszonego betonu.

Najgorzej było przy pniu drzewa. Płyty wokół niego wybrzuszyły się i popękały. Przypominało to połamane pieńki zębów trolla. Zobaczyłam, że coś tkwi w szparze obok mojej stopy.

I nie mogłam oderwać spojrzenia.



ROZDZIAŁ 4

Wicie, jakie to wrażenie, kiedy idzie się polować na jajka wielkanocne i dosłownie na sekundę przed ich znalezieniem ma się przeczucie, że będą one właśnie w tym miejscu? Dokładnie tak się czułam. Jakby ktoś schował tu specjalnie dla mnie mały skarb.

W dodatku leżał on tu przez całe moje życie. I czekał na mnie.

Byłam wyczerpana i przestraszona, czułam się jak wyciśnięta stara skarpeta, która utknęła w pralce. Mimo to uklęknęłam i przyjrzałam się bliżej. W szparze dojrzałam coś brązowego, jakby papier. Widziałam tylko fragment, przypominał zwiedły liść.

Mimo że rozsądek podpowiadał mi, że zamiast ratować zwiedłe liście, powinnam uciekać, schronić się przed kolejnym trzęsieniem ziemi, to nadal tkwiłam w miejscu. Dziwne. Rozgrzana, spocona, raz za razem pchałam palce w szparę, próbując wyciągnąć tajemniczy przedmiot.

Który nagle zalśnił.

Gapiałam się na niego, przecierając oczy. Zamrugałam, wyostrzyłam wzrok. Ale nie – teraz już nie błyszczała. Chociaż przez sekundę wydał mi się niemal żywy...

Nieoczekiwanie przestałam się przejmować lekcjami. Miałam w nosie terminarz. Nie obchodziły mnie nawet zabrudzone spodnie szkolne. Z zapałem sięgałam w głąb szpary. Ale była za wąska, moje palce zbyt grube, brakowało co najmniej piętnastu centymetrów. Wcisnęłam je mimo wszystko, poruszając nimi bezradnie, lecz chwyciłam jedynie powietrze.

Pobiegłam do kuchni, szarpnęłam szufladę i grzebałam w niej trzęsącymi się rękami. Potrzebowałam wąskiego, ostrego przedmiotu, żeby wsunąć go w szparę i wyłowić to, co w niej tkwiło. Szczypce do grilla? Nie, nie zmieszczą się w szczelinie. Patyczek do koktajlu? Tak, to się nada!

Wybiegłam na taras, uklękłam i wsunęłam patyczek w szczelinę. Był dostatecznie wąski, ale za krótki. Chciało mi się płakać z irytacji i rozczarowania. Nie wiem, dlaczego tak mi na tym zależało. Tajemnicze coś rzuciło na mnie urok.

Znowu pobiegłam do kuchni, wysunęłam inną szufladę i znalazłam w niej poźółkłą plastikową teczkę wypchaną dokumentami oraz rolkę samoprzylegającej folii. Wspaniale, pod warunkiem, że komuś zależałoby na zabezpieczeniu starych dokumentów; gorzej, jeśli chcesz nadzieć coś nieokreślonego, co właśnie wypłuł twój taras.

Daj sobie spokój z tą beznadzieją misją – pomyślałam. Wracaj do swoich zajęć, musisz nadrobić stracony czas.

Postanowiłam zabrać spod wierzby list pana Gritysnita i po raz ostatni zerknąć na szczelinę w tarasie. Dziwne. To coś, co w niej utknęło, nagle się poruszyło.

Widziałam teraz wyraźnie brązowy róg. O wiele łatwiej dałoby się to wyciągnąć na powierzchnię. A przecież przed chwilą tkwiło tak głęboko, że nie mogłam dosięgnąć palcami!

W tym momencie mogłam jeszcze postąpić rozsądnie. Wrócić do domu i zadzwonić po pomoc. Zgłosić odkrycie niezidentyfikowanego papierowego obiektu brązowego koloru i poprosić o jego usunięcie. Przez dwa tygodnie rozpamiętywać całą przygodę, po czym wrócić do dawnego życia.

Postąpiłam jednak inaczej.

I będę musiała z tym żyć. Być może wy także, choć to raczej mało prawdopodobne. Ale dla spokoju posłuchajcie mojej dobrej rady.

Jeśli ta książka w jakiś sposób was odmieni, możecie mieć z początku ochotę, aby mnie o to oskarżać. Lepiej jednak tak nie myśleć, serio. Oskarżanie kogoś to toksyczne uczucie, które w ostatecznym rozrachunku sprawi cierpienie wam, a nie mnie. Pamiętajcie. Żadnych oskarżeń. Żadnej nienawiści. Zamiast tego śmiało zaakceptujcie fakty. Radzę wam to po przyjacielsku.

Możecie także poboksować poduszkę; słyszałam, że to pomaga.

O czym to ja mówiłam? A, tak. Drząc lekko na całym ciele, przyjrzałam się uważniej. Miałam rację – papierowy przedmiot rzeczywiście się poruszył. Górna krawędź wystawała ze szczeliny. Jak to się mogło stać?

Mój mózg rzucił się na poszukiwania odpowiedzi. Być może kiedy byłam w kuchni, doszło do kolejnego trzęsienia, w wyniku czego przedmiot się poruszył?

Nachyliłam się i musnęłam go ostrożnie czubkami palców. W tej samej chwili poczułam lekki prąd wzdłuż ramienia. Przez moment widziałam też obrazy. Jasnozieloną, wilgotną od rosy trawę i splątane korzenie drzewa.

Wyciągnęłam papierowy przedmiot i rozprostowałam. Trzymałam go wreszcie w rękach, był tak lekki, że chyba nic nie ważył.

Wpatrywałam się w mój skarb.

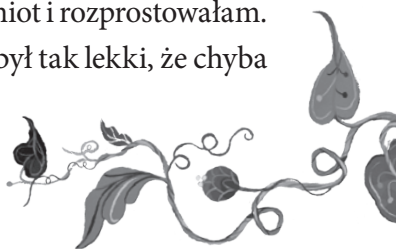
Była to...

...brązowa papierowa koperta.

Brązowa papierowa koperta, panie i panowie.

Trochę rozczarowana, ale i zauroczona, otrzepałam ją z ziemi. Wtedy moim oczom ukazał się pełen zawijasów napis: NASIONA NIESPODZIANKI. Został on wykonany wyblakłym, staroświeckim zielonym atramentem.

Pod spodem była jeszcze sentencja: OBY TE NASIONA BYŁY SAMOSIEJNE.



Obracałam kopertę w rękach z nadzieją na dalsze wyjaśnienia, a przynajmniej coś choć odrobinę b a r d z i e j e k s c y t u j ą c e g o, ale niczego takiego nie znalazłam.

Żadnych instrukcji.

Terminu przydatności.

Ani zdjęcia.

Ani hasztagu.

Nie było nawet kodu kreskowego, który można by głośno wykrzyknąć.

Zniechęcona, potrząsnęłam kopertą. Coś zagrzechało w środku.

Potrząsnęłam ponownie. Ten sam odgłos. Fuj...

Za żadne skarby nie otworzyłabym teraz tej koperty. Kto wie, co mogłoby na mnie wyskoczyć? Podniosłam ją wyżej pod światło. Przez cienki papier widać było około trzydziestu małych czarnych ziarenek.

Miały okrągły kształt i z każdego wyrastały cztery cieniutkie, czarne wąsiki. Nie poruszały się – wyglądały, jakby uschły dawno temu. Ale sprawiały dosyć upiorne wrażenie. Nawet ich bezruch napawał mnie strachem.

A oto spis tego, co przypominały:

1. Malutkie, wyschnięte na kamień meduzy.

2. Obcych z kosmosu bez twarzy, za to z czterema kończynami.

3. Zmumifikowane czaszki z rozwianym włosom.

Przypatrzyłam się im ponownie. Zdawały się czekać na mój kolejny ruch. Ale co niby miałam z nimi zrobić?

Palily mnie policzki. Czułam się oszukana, zręcznie wyprowadzona w pole. Wydawało mi się, że coś będzie fajne, a tak nie było. Przeżywałam już coś podobnego. Na przykład w trzeciej klasie pojechaliśmy na wycieczkę do fabryki produkującej ścierki do naczyń w Jałowym Siole. (Możecie mi wierzyć, było to nudne jak flaki z olejem. I był też bardzo ograniczony wybór w sklepie z pamiątkami, jeśli wiecie, co mam na myśli).

Zgniotłam kopertę, podniosłam list od pana Gritty-snita, wróciłam do domu i starannie zamknęłam drzwi na klucz.

Ponieważ – teraz uwaga, kochani, bo mam dla was ważną życiową lekcję, i to całkiem za darmo – jeśli chcecie się ochronić przed tajemniczą czarną magią, wobec której jesteście całkowicie bezbronni, to przyniesienie jej ze sobą i zamknięcie drzwi na klucz (czyli z a m k n i ę c i e się wraz z nią w domu) jest bez wątpienia najlepszą metodą postępowania.

Tak jak mówiłam, porada na koszt firmy.

ROZDZIAŁ 5

Moja mama miała najlepszą posadę na świecie. Przez cały dzień patrzyła na góry sera, jeziora sosu pomidorowego i tryliony olbrzymich tub z ostro przyprawionym mielonym mięsem, które spływały z sufitu fabryki jak błogosławieństwa bogów pizzy. Mama pracowała w Chillz, czyli lokalnej fabryce mrożonej pizzy.

Jeśli chcecie dzielić włos na czworo, to istotnie, pizzę robiły maszyny, a mama je tylko obsługiwała. Utrzymywała je w czystości, załatwiała problemy techniczne i zamykała produkcję, jeśli doszło do zanieczyszczenia. Nie robiła pizzy, lecz nadzorowała proces produkcji.

W każdym razie tak mi powtarzała. Dla mnie jasne było, że mama robi pizzę. Ponadto musiała nosić genialne kombinezony robocze z motywem pizzy, w czerwono-zielone ciapki nawiązujące do najlepiej sprzedającego się produktu z asortymentu tanich pizz firmy Chillz (pizza z pepperoni i zielonym pieprzem, super ostra, za jedyne siedemdziesiąt dziewięć pensów. Tak, za całą pizzę.

W i e m!). Uwielbiałam te kombinezony, a jeszcze bardziej podobała mi się przypięta do kieszonki odznaka w kształcie trójkątnego kawałka pizzy z napisem:



Jakby tego było jeszcze mało, mama mogła zabierać produkty odrzucone z taśmy. Na niektórych pizzach było za dużo albo za mało nadzienia, nie były idealnie okrągłe lub o jeden milimetr grubsze od wymaganych regulaminem firmy Chillz dwóch i jednej dziesiątej centymetra.

Większość odrzutów była na koniec dnia rozgniatana na pulpę, ale mama mogła zabierać do domu tyle pizzy, ile tylko zmieściło się w bagażniku. Uwielbiałam ją. Była ostra, z hojnym dodatkiem sera. Często trafiały się też inne kawałki, na przykład z pieczarkami lub czymś w tym rodzaju. Czasem trzeba było się domyślać i stanowiło to część magii. I wszystkie te kawałki były dla mnie. Ponieważ mama, o dziwo, nigdy nie brała tej pizzy do ust.



W domu rzuciłam w kąt kopertę z Nasionami Niespodzianki, wyjęłam z zamrażarki Odrzut Specjalny (nazywałam tak pizzę przyniesioną przez mamę) i próbowałam zrozumieć, co właściwie zaszło na tarasie. Czy będę musiała zadzwonić na policję i zgłosić trzęsienie ziemi? Czy mama poczuła to w fabryce? Czy pizze ucierpiały? Jak brązowa koperta mogła zalśnić, schowana głęboko w szczelinie? I w jaki rodzaj kłopotów wpakował mnie rozwalony taras, bo jasne było, że mamy nie ucieszy ten widok?

Było tego stanowczo za dużo. Postanowiłam trochę pomarzyć, żeby nieco ochłonąć. Wysiadłyśmy właśnie z samolotu na portugalskim lotnisku. Mama spojrzała na mnie z promiennym uśmiechem. Ciemne kręgi pod jej oczami znikły bez śladu.

Uśmiechnęłam się do niej uszczęśliwiona.

„Jakie cudowne słońce, kochanie” – powiedziała mama, a wietrzyk pachnący kokosem mierzwił lekko jej włosy. Słyszałam ją tak wyraźnie, jakbyśmy naprawdę tam były.

– Jak tam lekcje, kochanie?

Yyy... co?

Sen na jawie zblakł i ujrzałam niską, pulchną kobietę o prawie białych blond włosach, w tym fantastycznym kombinezonie w ciapki. Okulary w szylkretowej oprawce

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl